



Agnieszka Lis

# Jutro będzie normalnie

**Replika**



Agnieszka Lis

# Jutro będzie normalnie

**Replika**



Copyright © Agnieszka Lis, 2010  
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja  
Magdalena Bandurska

Projekt okładki  
Iza Szewczyk

Zdjęcie na okładce  
Copyright © iStockphoto.com/EyeMark

Łamanie komputerowe  
Stanisław Tuchołka

Wszelkie podobieństwa nazwisk, postaci i zdarzeń są przypadkowe i nie mają odpowiedników w rzeczywistości

Wydanie I

ISBN 978-83-7674-089-8

Wydawnictwo Replika  
Ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo  
tel./faks 61 868 25 37  
[replika@replika.eu](mailto:replika@replika.eu)  
[www.replika.eu](http://www.replika.eu)

Druk i oprawa: WZDZ – Drukarnia „LEGA”

# Spis treści

Jesień	/	7
Zima	/	53
Wiosna	/	117
Lato	/	169
Monsun	/	209
Monsun letni	/	237

# Jesień

Poprzedniego wieczoru mąż powiedział mi, że jestem dobrym człowiekiem. Trudno zdecydować czy to komplement, czy kpina. Dobry brzmi jak naiwny. Niedzisiejszy, niegdysiejszy.

Wszystko dlatego, że moja jedyna przyjaciółka, Malwina, zapomniała mnie poinformować, że wróciła do Polski. Wszystko dlatego, że nie robiłam z tego problemu.

– Dobroć nie ma tu nic do rzeczy – próbuję tłumaczyć. – To po prostu przyjaźń. Zrozumienie, pomijanie błahostek.

– Akurat – prychnął Zbyszek i zagłębia nos w gazecie.

Dobry. Powtarzam to słowo nad kuchennym zlewem, aż staje się tylko zlepkiem liter. Dobry. To znaczy wyrozumiały, tolerancyjny, rozumiejący. Dobry wybaczający, krzywdy zapomni, w biedzie pomoże. Dla siebie niewiele chce.

Jak ja?

\* \* \*

Dzisiejszy zabiegany dzień pozwolił mi na pierwszą szklanekę herbaty dopiero o czternastej. Jolka, mój starszy słuźbowy dopust boży,



koleżanka zza biurka, przechodziła samą siebie. Nie da się ostatnio z babą wytrzymać. Od dawna jej tłumaczę, że chcę wychodzić z pracy wcześniej. Joanna, nasza kierowniczka, nie widzi żadnego problemu, ale Jolce trudno pogodzić się z tym, że ktoś miałby lepiej niż ona. Lepiej? Praca musi być wykonana – wcale nie miałabym lepiej. Musiałabym tylko być jeszcze bardziej zorganizowana. Jolka to biedna kobieta, swoją drogą. Niby ma syna, ale mieszka od dawna sam – z matką kontaktuje się rzadko.

Nie udało się jej. Kiedyś, kiedy Michał był mały, zostawiła go na pięć lat i wyjechała do Stanów na przysłowiowe saksy, a potem... potem było już za późno. Płacz i zgrzytanie zębów nie pomogły. Chłopak znalazł się w szpitalu dla nerwowo chorych, wplątał w narkotyki, przydarzyły mu się jakieś drobne kradzieże. Neurotyczna osobowość, kopia mamusi. Do tego Jolka nie ma żadnego stałego faceta. Pięciu mężów przetrwała – ale z nikim nie związała się na dłużej. Tak z kwiatka na kwiatek, to i do domu spieszyć się nie musi. Czasem to jej nawet zazdrozczę. Może wyjść kiedy chce, i wrócić kiedy chce – albo nie wracać w ogóle. A jeśli zostawi po sobie porządek, to po powrocie zostanie też porządek.

A ja zostawiam po sobie porządek każdego wieczoru. Rano nie zdążę jeszcze wyjść do pracy, a już panuje artystyczny nieład. Uważam, żeby nie poślizgnąć się na żadnej ciężarówce, nie potknąć o misia, ewentualnie nie uderzyć o kosmicznego robota. Jeszcze do niedawna udawało mi się utrzymywać zabawki w ryzach, ale teraz z każdym tygodniem mają coraz więcej mocy i coraz większy zasięg. Część z nich opanowała już nawet sufit – albo z niego zwisa, albo jest do niego

przyklejona. I kiedy patrzę na ten galimatias, to zazdroszczę Jolce. Ma cicho i spokojnie.

Cicho, spokojnie i ma porządek – i nikt na nią nie czeka. Nikt rano nie przygotowuje jej herbaty i nie poda panadolu, kiedy boli ją głowa. A ja najpierw dostanę panadol, w drugą rękę szklankę z herbatą, a od tyłu kuksańca, żebym już wstawała, bo dziecko się nudzi. Do tego mały zaśmieje się perliście i chociażby głowa odpadała mi z bólu, wstanę i pójdę się z nim pobawić.

Co tam, niedługo wyrośnie i nie będzie chciał się bawić ze starą matką.

\* \* \*

Fajnie, że udało mi się dzisiaj wyjść z pracy w miarę normalnie. Wprawdzie goniłam z robotą przez cały dzień, ale udało mi się skończyć wcześniej niż zwykle. Już o piętnastej dziesiątą byłam w drzwiach, a w domu pół godziny później. I mam swoją ciszę i spokój. Wprawdzie nie ma róży bez kolców i bałagan też mam, ale na razie nie będę go sprzątać, co tam. I tak za półtorej godziny pojawi się mój ancymon z babcią i rozwibruje cały dom.

Nie mogę się nasłuchać tej ciszy. Nie włączam radia ani telewizora – żeby mi jej nie zakłócały. Chociaż u sąsiada radio gra na cały regulator. Marzy mi się ogródek, nawet malutki. I cichutki. Wyszłabym sobie wtedy na taras, przysiadła na chwilę i popatrzyła na drzewka.

Marzenia. Wyjść to ja sobie mogę – na balkon. Na balkonik. Metr na półtora, z tym że przydatność do oglądania drzewek jest mizerna, bo cały jest w sznurkach do wieszania bielizny. Nie mam jak rozwiesić prania w łazience, bo wtedy nie można przysznica wziąć ani nawet rąk umyć. Łazienka jest tak mała, że zamiast umywalki stoi pralka, a ręce trzeba myć nad wanną. A jakby nad tym jeszcze wisiało pranie... Najgorzej jest zimą. Ale co tam, mamy, do licha, lipiec! Przed oczami staje mi taras wychodzący na mały ogródek i tej wizji będę się trzymać, a co.

Ale szybko się wszystko robi w kuchni, kiedy w domu spokój, nikt nie ciągnie mnie za spódnicę, nikt nie woła ani niczego nie chce. Warzywa na zupę już obrane i pokrojone. Leżą spokojnie w garnku i czekają na śmierć poprzez wygotowanie.

Tak, obiad gotowy, tylko wstawić, a ja – ciągle mam jeszcze prawie godzinę, świat jest piękny! Zbyszek powinien być w domu dzisiaj trochę po osiemnastej, może ciut wcześniej. Kiedy więc teściowa wróci z małym z przedszkola, będzie jeszcze jakaś godzina do powrotu męża. Zjemy zupę, a z drugim poczekamy na Zbyszka.

Zza ściany słyszę wiadomości. Sąsiad trochę głuchy, więc nawet i pretensji do niego mieć nie mogę, chociaż przeszkadza... Za to drudzy sąsiedzi – tych z kolei w ogóle nie ma. Kilka lat temu kupili sobie dwa hektary osiemdziesiąt kilometrów od miasta. Cudo, pół działki zadrzewione, las stary, gęsty i piękny. Życie wśród natury, istny raj. Sąsiadka mówiła o tym z błyskiem w oku, od samego słuchania robiłam się zazdrosna. No i co? Przeprowadzili się tam, zobaczyłam Stefę po pół roku. Spotkałam ją na ulicy i poznałam dopiero w ostatniej chwili, kiedy

mi się ukłoniła. Zawsze była szczupła, ale w tym lesie schudła jeszcze z piętnaście kilo. Teraz wygląda, jakby startowała w wyborach na miss zagłodzonych wampirów. No, nasza szkapa po prostu. Do tego przestała farbować włosy i okazało się, że jej naturalny kolor jest mało twarzowy. W sztucznym ciemnym blondzie wyglądała lepiej i naturalniej – kto zresztą prezentuje się dobrze w siwiźnie? Stefa ma niecałe czterdzieści lat. Gdzie tam czterdzieści, niedawno skończyła trzydzieści pięć, a wygląda jak moja babka! Sucha, pomarszczona skóra, na oko sześćdziesiąt pięć plus. Makabra.

To może ten mój balkonik nie jest taki zły? Nie mogę wprowadzić na niego wyjść, by podziwiać ścianę szumiącego lasu, ale za to mogę się odwrócić, wejść do łazienki i posmarować twarz kremem. Lub wyjść z domu, przejść osiemset metrów i kupić sobie inny krem. I przy okazji wiadomości od sąsiada posłucham, nawet radia nie muszę włączać.

Ze Stefą Prosową to trochę tak, jak z moją teściową. Rodzice Zbyszka mają nieduże, ale ładne mieszkanie blisko centrum. Miasto jest niewielkie, to zaledwie dwa przystanki od naszego osiedla, ale jednak mamy dwa oddzielne mieszkania. Nasze jest w blokowisku, teściów – w naprawdę ładnym miejscu, przy bocznej, zadrzewionej ulicy, bardzo blisko parku. No, drugie piętro to trochę niedogodność, ale na okrągłą jak beczułka figurkę teściowej to i czwarte by się przydało. Mamusia wierciła teściowi dziurę w brzuchu tak długo, aż wywierciła działkę za miastem. I teraz rokrocznie, już w marcu, działka jest przedmiotem wojny domowej. Bo teściowa w mieście siedzieć nie chce – od kwietnia do listopada chce mieszkać na działce. Ta działka znowu nie jest na końcu świata, bo dzieli ją od miasta zaledwie czterdzieści kilometrów. Ale bywały takie lata, że jak Mamusia tam wsiąkła, to przez pół roku w mieście stopy nie

postawiła. Bo i po co? Może racja, domek tam jest, wprowadzie z gatunku wiecznotrwalej prowizorki, ale przespać się można. Działka jest w środku lasu, dla zmęczonej pospiechem życia duszy – jak znalazł. Ale Mamusia nie prowadzi samochodu, a autobusu nie ma tam w promieniu pięciu kilometrów. Sąsiedzi jacyś owszem, od czasu do czasu się trafiają, ale głównie w weekendy, a i to sporadycznie. Kiedyś się zdarzyło, że matka zasłała. Ojciec dzwonił po karetkę, nie mogła tam trafić po nocy, szukali się wzajemnie. W tym czasie teść wycinał konar z drzewa sąsiadów, bo blokował drogę ambulansowi... Czeski film. Na koniec, tuż przed północą, kiedy Mamusia leżała już w szpitalu, teść zadzwonił do nas. Zbyszek tak spanikował, że wyskoczył z wanny, w której siedzieliśmy, stłukł kieliszek z winem, bo właśnie zaczynaliśmy romantyczną część wieczoru, i był tak przerażony, że musiałam podawać mu kolejne części garderoby. Uznałam to za stosowne po dłuższej chwili przyglądania się, jak próbuje głowę wcisnąć w rękaw swetra, przy czym na zewnątrz było dwadzieścia siedem stopni. Oczywiście pojechałam wtedy z nim i chociaż mój mąż na co dzień jest bardzo spokojnym i poprawnym kierowcą, tego wieczoru przekroczył większość znanych mi przepisów drogowych.

A gdyby coś takiego stało się teściowi, nie teściowej? Mamusia nie za bardzo potrafi sprawnie posłużyć się telefonem komórkowym – zadzwoni tylko wtedy, kiedy klawiatura nie jest zablokowana, bo inaczej „telefon nie działa”, SMS-a nie wyśle, bo nie potrafi, samochodu nie prowadzi...

Jakoś nigdy nie potrafiłam się z teściową dogadać. Och, młoda byłam i głupia – tylko to drugie mi zostało. Marzeń miałam bez liku i nie wyobrażałam sobie żadnych kompromisów. Wygadana też byłam, że ho

ho. Ale ja byłam młoda, a teściowie starzy, a jeszcze głupszy ode mnie. Nic nie pojmowali z tego mojego gadania i nigdy się nie porozumieliśmy.

\* \* \*

Kiedyś Mamusia zaprosiła nas na noworoczny obiadek. Niby zwyczajna sprawa, ale zaproszenie było wystosowane w stylu nieuznającym innego wariantu spędzenia czasu w Nowy Rok. Cypriana nie było wtedy jeszcze na świecie, więc planowaliśmy dłuższe balowanie i stawianie się na wyznaczoną godzinę na wystawnym obiedzie nie nęciło mnie jakoś najbardziej na świecie. Ale nic to. Trzeba – idziemy.

A na miejscu... jadalnia świątecznie udekorowana, obrus śnieżnobiały, gałązki świerku na obrusie dodają aromatu. Zastawa świąteczna, historyczna porcelana, biała ze złotym paskiem, bardzo elegancka. Stół zastawiony pysznościami. Osiem przystawek, co jedna, to lepsza, dwa główne dania mięsne, cztery rodzaje warzyw, ziemniaki, ryż i kasza do wyboru. Na deser owoce i trzy rodzaje ciast, w tym jeden tort. Wszystko oczywiście domowej roboty. Wyglądało lepiej niż na reklamowych zdjęciach. Po prostu miód-malina.

I u szczytu stołu teść.

Dzieci jeszcze wtedy nie mieliśmy, a teściowie mieli już odchowane, czyli w domu też ich nie mieli – i także zabalowali. To znaczy teść, bo teściowa to raczej nie pije. W efekcie szampańskiej zabawy teść siedział przy stole coraz bardziej pijany, bo w trakcie obiadku poprawiał. Mamusia miała czerwone, podpuchnięte oczy i rozświergotanym głosem zachęcała nas do jedzenia, „tak malutko

przecież zjedliście”. Atmosfera była jak we wnętrzu egipskiej piramidy, a może nawet byłoby sympatyczniej spożywać noworoczny posiłek w komorze grobowej faraona. Niewykluczone, że sąsiedztwo kilku mumii okazałoby się bardziej zabawne. Starożytni mieli trochę inne podejście do spraw życia i śmierci, można by się od nich sporo w tym zakresie nauczyć.

Siedziałam i nic nie rozumiałam. Mało gadałam, ale do czasu. W pewnym momencie teść, zachwycony własną elokwencją i wysokim poziomem kulturalnej rozmowy, prowadzonej przez samego siebie z samym sobą, rozpoczął wykład z zakresu słuszności przestrzegania wszystkich przykazań, obowiązku cotygodniowego chodzenia do kościoła i uczestniczenia we wszystkich sakramentach. Jak dla mnie liczba prawd i objawień w stosunku do proporcji na jeden obiad była zbyt wielka. Och, nie pamiętam już dzisiaj nawet, co dokładnie mówiłam. Trochę tego było. Powiedziałam, zakończyłam grzecznym „do widzenia” i wyszłam. Nawet się wtedy nie zastanowiłam, że przecież Zbyszek został, nie pomyślałam o tym, że może za mną nie pojechać. Wróciłam do domu sama i sama chciałam w tamtym momencie być. Kiedy emocje już trochę opadły, Zbyszek przyjechał do mnie, przytulił mnie i dopiero wtedy się rozluźniłam. Nawet się nie rozplakałam, bo i dlaczego? A dopiero późno, późno w nocy dotarło do mnie, jak trudne to musiało być dla mojego męża. Został z rodzicami sam, musiał odeprzeć ich ataki i jeszcze do tego przekonać sam siebie, że miałam prawo tak wybuchnąć.

Czy naprawdę je miałam? Miałam rację i miałam prawo wyjść. Przecież nie muszę słuchać kazań pijanego faceta, który usiłuje groteskowo odgrywać rolę autorytetu. Ale przecież mogłam potraktować to jako kabaret, może nie najwyższych lotów, ale jednak dosyć komiczny

zestaw różnych żarcików, kłamstewek, półprawd i prawie prawd. Marny talent aktorski wygłaszającego przy odpowiednim punkcie widzenia mógłby po prostu wzmacniać żartobliwy efekt. W ostateczności mogłam potraktować to z sardonicznym poczuciem humoru i nie wypowiadać swojego zdania. Dzisiaj bym już tak zrobiła.

Dzisiaj.

Może jednak z upływem czasu staję się nie tylko coraz starsza, ale też i odrobinę mądrzejsza.

\* \* \*

Mamusia też potrafi być niezłą żoną.

Co roku w połowie listopada zaczyna się nerwowe dreptanie: gdzie będzie kolacja wigilijna? Teściowa bowiem nie dopuszcza do siebie myśli, że jej synkowie, a właściwie jeden synek – bo brat Zbyszka dawno dał dyla spod skrzydełek Mamusi aż na antypody – mógłby spędzić Wigilię we własnym domu. Ciągłe do niej nie dociera, że każdy z syneczków jest dorosłym facetem. Kiedy zamieszkaliśmy razem ze Zbyszkiem, bardzo zależało mi na tym, żebyśmy mogli spędzić Wigilię u siebie. To było dla mnie ważne, ta pierwsza wspólna Wigilia we wspólnym domu. Miała być tylko nasza, taka prywatnie nasza. Po prostu pierwsza. Już od dawna nie miałam prawdziwej rodzinnej Wigilii. O takiej od wielu lat marzyłam.



Mam pod powiekami tylko wspomnienie dziesięciolatki. Zamglony i niewyraźny obraz: stół, światło świec odbijające się błyszczącymi wzorami na porcelanie, jacyś uśmiechnięci pani i pan. Moi rodzice zginęli w wypadku dwa miesiące po tych świętach, nie znam jego szczegółów i nie chcę znać. I niewiele z tego okresu pamiętam. Tylko ten obraz: śnieżnobiały talerz ze złotym wzorem na wysokości mojego nosa i wysokie świeczniki, ze światłami migoczącymi jak na Pałacu Kultury, o którym opowiadał mi tata.

I tyle.

Nie został mi w pamięci żaden zapach, żadne kolory. Tylko mgła i zarysy postaci. I nostalgia, do której boję się wracać.

A teraz zamiast nostalgii... szkoda gadać. W starciu z teściową byłam i pozostaję bez szans. W wigilię więc wróciłam po pracy do domu, zrobiłam naszą skromną odświętną kolację, po czym pojechaliśmy do teściów na kolację właściwą i nawet nie można się było przyznać, że już jedliśmy. I tak było co roku.

Dopiero ostatni rok był inny.

Kilka lat temu przestałam być Don Kichotem i zaniechałam prób zaproszenia teściów do nas. O rodzinnej intymności dawno już śnić przestałam.

Będzie, co będzie, myślałam i nie zawracałam sobie tym głowy. Był już drugi tydzień grudnia, kiedy teściowa nie wytrzymała.

Srebrnym sopranem rozpoczęła:

– Wiesz, w tym roku chyba nie będzie takich prawdziwych świąt...

Lekko zbaraniałam, nie miałam pojęcia, o co chodzi i bałam się cokolwiek powiedzieć.

– ...bo widzisz – Mamusia kontynuowała – jesteśmy w tym roku zaproszeni do cici Elżuni i pojedziemy tam na dwa dni przed świątami, a wrócimy dopiero przed Nowym Rokiem.

Moje szczęście nie miało granic i nie wiedziałam, co zrobić, aby nie było tego po mnie widać. Zająłam się więc pilnymi robotami kuchennymi, które jeszcze dwie minuty temu w hierarchii ważności znajdowały się dosyć nisko.

– Mamo, cieszę się, że odpoczniesz w tym roku, zawsze tak ciężko przed świątami pracujesz. - Staralam się włożyć w wypowiedzaną kwestię maksimum ciepła.

Teściowa wyraźnie nie była zadowolona z mojej odpowiedzi. Gdzie rozpacz? Gdzie żal, że nie będzie klusek z makiem, czyli kupnego makaronu z mieloną masą z puszki? I barszczu z kartonika? Teściowa gotowała wprawdzie bardzo dobrze, ale głównie dla znajomych; od kiedy zaserwowała nam na Wigilię barszcz z kartonu, straciłam złudzenia, co do jej gotowości do poświęceń dla ukochanych dzieci.

To były najpiękniejsze święta, jakie przeżyliśmy ze Zbyszkiem w ciągu piętnastu lat naszego wspólnego życia.

W Wigilię nie poszłam do pracy, przygotowałam spokojnie kolację. Mieszkanie było już wcześniej posprzątane, Zbyszek bardzo mi w tym pomógł. Właściwie w Wigilię tylko jeszcze odkurzył i wytarł podłogę, wszystko inne zrobiliśmy wcześniej. Przygotowania do kolacji rozłożyłam sobie na trzy dni, a nawet na więcej – bo tort zrobiłam pięć dni wcześniej – nie miałam więc zbyt dużo pracy. W przerwach między gotowaniem bawiłam się z Cyprianem, śpiewaliśmy razem kolędy, jednym słowem – po prostu miło spędzaliśmy czas. O czternastej przyjechał Zbyszek, zajął się trochę małym, nakryłam do stołu, usiedliśmy do kolacji. Luksusem było dla mnie to, że nie musiałam robić tego na czas. Po prostu podam kolację, kiedy będzie gotowa. Nie o wyznaczonej godzinie, nie dokładnie w chwili, gdy... Tylko tak po prostu.

Kolację zjedliśmy sobie na raty, mały na kolanach u taty pokazywał, co chce dostać do buźki. Zbyszek zaparzył kawę i usiedliśmy do rozpakowywania prezentów.

Prezenty to jest u nas w domu osobna historia. Ich gromadzenie zaczyna się czasami już we wrześniu. To znaczy ja je zaczynam. Jeśli znajduję coś, co według mnie nadaje się na prezent dla kogoś – to po prostu to kupuję. Czeka potem w szafie na swój czas. Kiedyś, kiedy nie było Cypriana, od razu pakowałam i opisywałam taki prezent. Czasami po trzech miesiącach nie pamiętałam już, co to było. W ten sposób sobie także robiłam niespodziankę. Dzisiaj nie pakuję prezentów wcześniej, brakuje mi miejsca na ich przechowywanie. Zapakowany pięknie podarunek nie może już być przestawiany; musi stać spokojnie w przestronnym otoczeniu, w którym nie pogniecie się papier ani nie pozaginają kokardy. Uwielbiam pakowanie prezentów. To magiczna

chwila, w której zwykle pudełko staje się niewiadomą. Zawsze sprawiało i nadal sprawia mi to ogromną przyjemność, prezenty w naszym domu pakowane są więc naprawdę ładnie. W tym roku też pod choinką znalazło się mnóstwo paczek, błyszczących, różnokolorowych. Mały oniemiał. Wydał z siebie tylko głębokie westchnienie i zanurkował pomiędzy kartony. Był zachwycony, a my razem z nim. Rozpakowywanie każdego prezentu trwało i trwało. Każdy musiał pokazać, co dostał, a wszystkie drobiazgi podlegały wnikliwej analizie Cyprianowych oczu i rąk. Wszystko zajmowało dużo czasu, ale przecież nie spieszyliśmy się nigdzie. Po raz pierwszy mogliśmy po prostu cieszyć się wzajemną obecnością.

Tylko tyle, aż tyle i nie chcieliśmy nic więcej.

To były najpiękniejsze święta, jakie mi się przydarzyły. Jak z amerykańskiej reklamy – tylko nie były plastikowe.

Zadziwiające, że po świętach nie usłyszałam nawet specjalnych komentarzy od teściowej, po prostu: życzenia, prezenty i tyle. Bo na ogół to Mamusia ma dużo do powiedzenia, oj... to chyba zemsta za mój niewyparzony jęzor w młodych latach.

\* \* \*

W domu dziecka, do którego trafiłam, musiałam nieźle dać w kość wychowawcom. Dzisiaj myślę, że to był mur, za którym ukryłam wszystko to, z czym nie potrafiłam sobie poradzić. Śmierć rodziców, samotność, rozdzielenie z chorą siostrą. Moja siostrzyczka... Była chora, miała zespół Downa, w domu dziecka nie było nikogo, kto mógłby się nią

zająć. Trafiała więc do specjalistycznego, teoretycznie, domu opieki, ale tam też nie potrafili się nią zaopiekować. Dorotka była w naszym domu hołubiona i kochana. Ten najdotkliwszy z braków – brak ludzkiego ciepła i prawdziwej miłości, zabił ją w ciągu niecałego pół roku. Tak przynajmniej sobie to tłumaczę, bo nikt nie chciał mi powiedzieć nic konkretnego. Na pogrzebie rodziców widziałam Dorotkę ostatni raz, przytulałam ją wtedy mocno, tak mocno, że do dziś to pamiętam. Na jej pogrzeb nie pozwolono mi pojechać.

Myślę, że ściany, którą wtedy zbudowałam wokół siebie, nie udało mi się do dziś całkowicie rozebrać. Kilka cegieł jest tak mocno zespolonych, że pewnie zostaną całością na wieki.

Zmądrzałam, dziś większość myśli zatrzymuję dla siebie. Znacznie poprawiło to jakość naszej komunikacji rodzinnej. Chociaż nawet wielka mądrość nie byłaby czasami wystarczająca.

Kiedyś, zanim zatrudniłam się w urzędzie, pracowałam jako przedstawiciel handlowy – sporo wtedy jeździłam. Dawne to czasy, niedługo trwały, ale tak było. W tamtym czasie któregoś weekendu pojechaliliśmy do teściów na działkę. Zbyszek z tatą poszli do lasu – ja zostałam z Mamusią i prowadziłyśmy leniwą rozmowę w blasku słońca. Pozornie o niczym. Zadała mi pytanie, czy nie martwię się o Zbyszka, kiedy tak często wyjeżdżam.

Spokojnie jej odpowiedziałam, że Zbyszek sobie poradzi.

– No właśnie, żeby tylko nie poradził sobie za dobrze.

Zadowolona teściowa mlasnęła, widząc moją minę. Nic jej na to nie odrzekłam, bo też nic nie miałam do powiedzenia. Ale kiedy wracaliśmy do domu, wspomniałam o tym Zbyszkowi. Aż przyhamował z wrażenia. Okazało się, że został uraczony podobnym pytaniem, kiedy ja weszłam na chwilę do altany. Czy nie obawia się, co ja tam wyprawiam, kiedy tak często nie ma mnie w domu? Czy aby na pewno wie, gdzie jestem, co robię i z kim?

Nie potrafię tego zrozumieć. Przecież robi to własnemu dziecku! Jemu psuje humor i krew, jemu przysparza zmartwień.

Ja też kiedyś taka będę?

Mam jeszcze pół godziny do powrotu rodziny, ogarnę trochę. Szum odkurzacza dobrze mi robi na rozmyślania o teściowej. Wyobrażam sobie na przykład, że ten odkurzacz to talerz UFO, że kosmici przybyli na naszą planetę, żeby porwać kilku Ziemiaków i trafiają akurat na naszą Mamusię. Jest mi błogo, jest mi dobrze, jest cisza wokół i słychać tylko warkot odlatującego spodka... Warkot jednak nie milknie – okazuje się, że UFO wraca i pozostawia ją na Ziemi, burząc spokój zielonej nasłonecznionej łąki, na której właśnie odpoczywałam. Z moją teściową nawet UFO nie wytrzyma, ta konstatacja powinna być mi znana już od dawna, nie mam co liczyć na szczęśliwy traf. Grasuję więc z odkurzaczem dalej i snuję kolejne marzenia na temat bezteściowej krainy szczęśliwości.

Istniejącej wyłącznie w mojej umęczonej wyobraźni, bo życie bez Mamusi nie byłoby możliwe.